

ZESZYTY WOJNICZKIE



nr 7

listopad

1992

CENA 5000 ZŁ

WYDAJE IZBA REGIONALNA W WOJNICZU PRZY AKCEPTACJI ZARZĄDU GMINY

PAMIĘCI RODZINY MIROCHNÓW

Rok temu w dniu 11 listopada odbyła się w Wojniczu wzruszająca uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy upamiętniającej zamordowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej czterech braci Mirochnów oraz ich szwagra Władysława Augustyna. Zamieszczamy niżej spisane z taśmy magnetofonowej przemówienie Ks. kanonika Antoniego Kowalskiego oraz wspomnienie Pani dr Wandy Wróblewskiej-Składzieniowej, będące rozwinięciem przemówienia, jakie wygłosiła na tej uroczystości. Oba te teksty uzupełniają i wzbogacają obszerną już literaturę dotyczącą Rodziny Mirochnów.

Przemówienie Ks. Kan. Antoniego Kowalskiego

Zasłużona dla Ojczyzny i Kościoła bł. Urszula Ledóchowska, autorka książki pt. "Jesteś nieśmiertelna Ojczyzno ukochana Polsko moja" napisała w niej takie zdanie: "Naród nasz to naród prawdziwych bohaterów, którzy z radością przelewają krew za każdą szlachetną i wielką sprawę". Jesteśmy zebrani przed domem rodzinnym Wojciecha i Marii Mirochnów. Czterech ich synów Stefan, Józef, Stanisław, Tadeusz i najbliższy krewny Władysław Augustyn złożyło na ołtarzu Ojczyzny młode życie za wielką i świętą sprawę. Godni są naszego hołdu, czci i trwałej pamięci.

Była to rodzina o wysokich wartościach religijnych, moralnych i ideowych. Okupant postanowił zniszczyć tę rodzinę. Dwóch synów Stefan - O. Julian i Antoni - O. Mieczysław poszło za głosem powołania i wstąpiło do zakonu św. Franciszka. O. Julian gorliwy misjonarz, gwardian klasztoru w Kaliszu za pomoc świadczoną działaczom podziemia na terenie Wielkopolski ujęty w Warszawie, po dotkliwych torturach został powieszony w VII Forcie Cytadeli Poznańskiej. O. Mieczysław wyjechał do Japonii wraz z O. Maksymilianem i tam głosił Ewangelię ponad 50 lat, zmarł w Nagasaki w 1989 roku.

Józef i Stanisław byli znanymi działaczami narodowymi i politycznymi. W czasie pokoju prowadzili walkę o suwerenność ducha narodu, o tożsamość jego kultury, o prawdę i sprawiedliwość historyczną, o samodzielność gospodarczą. A gdy Ojczyzna znalazła się w niewoli, wierni wezwaniu wieszczka narodu Juliusza Słowackiego: szli na śmierć po kolei jak kamienie rzucane przez Boga na szaniec.

Najmłodszy z braci Tadeusz, mój przyjaciel, zapisał piękną kartę swego młodzieńczego wieku. Wszechstronnie uzdolniony, muzyk, kompozytor, poeta, literat, aktor, urodzony mówca, student wydziału prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, a w końcu żołnierz oddziałów generała Kleeberga na Podlasiu walcząc o wolność z bronią w ręku, poszedł jako jeńiec do niewoli. Na jego umiłowanie Ojczyzny, idealizm i męstwo rzucają światło słowa pisane z obozu: "Rozpłakałem się jak dziecko, kiedy musiałem rozbić karabin o sosnę w lesie, by nie oddać go przy kapitulacji".

Zwolniony z obozu jeńców pracuje fizycznie jako robotnik rolny, jako rzemieślnik, a na podstawie korespondencji z rodziną zostaje osadzony w obozie koncentracyjnym w Radogoszczy koło Łodzi i tam został stracony. Liczył wtedy 23 lata.

Mąż ich siostry Anny, Władysław Augustyn, żołnierz Armii Krajowej i działacz niepodległościowy zginął w egzekucji w Krakowie pod sam koniec okupacji. Pięć osób oddało życie za Ojczyznę - z jednego domu!

Nie szczędzili Ojczyźnie swych sił, zdolności, młodzieńczego entuzjazmu, zdrowia, krwi przelanej i męczeństwa. Czyste były ich intencje, czyste zamiary i czyste ręce. Nie szukali sławy, nagrody, kariery, materialnych korzyści. Dlatego chylimy dzisiaj ze czcią głowy przed domem, w którym mieszkali, pracowali, modlili się i kształtowali w sobie szlachetne i mocne charaktery.

Miesiąc listopad jest poświęcony pamięci o zmarłych. Idziemy na groby, stroimy je w kwiaty, zapalamy znicze, szepcemy pacierze. A oni grobów nie mają, jedynie symboliczne. Ich kości i prochy rozrzucone na polskiej ziemi. Może tam rosną polne kwiaty, ale w naszych sercach niech zakwitną kwiaty wdzięczności za ich ból i utraconie. Niech rozbłysną znicze żarliwej miłości i modlitwy, niech ich imiona będą na trwałe zapisane w skarbnicy narodowej pamięci.

Są oni chlubą Ojczyzny i chlubą Wojnicza. Młodzież niech uczy się od nich miłości Ojczyzny.

Jako wojniczanin przypuszczam, że będę wyrazicielem rodaków, tych zamieszkałych na stałe w Wojniczu i tych rozproszonych po kraju i za granicą, gdy złożę serdeczne i gorące podziękowanie. W pierwszym rzędzie pragnę podziękować Najczcigodniejszemu Księdzu Biskupowi za udział w naszej patriotycznej uroczystości, za poświęcenie tablicy pamiątkowej, za ofiarę masy świętej i za słowo Boże. Radujemy się z obecności Księdza Biskupa. Następnie dziękuję serdecznie inicjatorom i organizatorom, którzy wiozli ogromny wysiłek, by ta podniosła uroczystość doszła do skutku. Dziękuję z kolei szanownym i miłym gościom, a szczególnie kolegom i przyjaciółom rodziny Mirochnów, tym bardziej, że niektórzy przybyli z daleka. Dziękuję braciom kapłanom tutaj obecnym i moim rodakom wojniczanom, tak licznie zebranych.

(od. na str. 2)

(cd. ze str. 1)

Mysł o Wojniczu nasuwa szereg wspomnień z lat dzieciństwa i młodości, jest nam tu wszystko bliskie i drogie. Ten kościół parafialny św. Wawrzyńca i zabytkowy kościółek św. Leonarda i kaplica loretańska i pomnik św. Floriana na Rynku, budynek szkoły, cmentarz z grobami naszych rodziców, miejsce, gdzie stał nasz stary dom i każde drzewo i każda cegła i każdy kamień i również ten dom naszych rówieśników, bohaterów - ozdobiony pamiątkową tablicą.

W ostatnim słowie zwracam się do was drodzy rodacy wojniczanie, a szczególnie do was młodzi, abyście zachęceni i umocnieni przykładem swoich poprzedników służyli z pełnym oddaniem Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie. Pamiętajmy o słowach Chrystusa: Większej miłości nikt nie ma, kto życie swoje oddaje za braci swoich.

STEFAN MIROCHNA GUARDIAN Klasztoru OO. Franciszkanów w Kaliszu	POZNAŃ - CYTADELA 1942
JÓZEF MIROCHNA PROFESOR muzyki	OŚWĘCIM 1942
STANISŁAW MIROCHNA DZIAŁACZ polityczny	OŚWIĘCIM 1943
TADEUSZ MIROCHNA STUDENT UW	RADOGOSZCZ 1941
WŁADYSŁAW AUGUSTYN MAGISTER praw	MONTELUPICH 1944

Wspomnienie o Bohaterskich, Genialnych i Szlachetnych czyli o Józefie, Tadeuszu i Stanisławie Mirochnach z Wojnicza

Nie ma w Polsce rodziny, która w okresie ostatnich 52 lat (a mamy rok 1991) nie poniosła dotkliwych strat osób najbliższych, strat psychicznych i materialnych. Ale rodzina, która została prawie całkowicie wymordowana i dotknęło to jednostek genialnych, bohaterskich i szlachetnych, zasługuje na szczególną społeczną pamięć. Moje wspomnienia o Rodzinie Mirochnów z Wojnicza dotyczą prof. Józefa Mirochny i Tadeusza Mirochny, z którymi zetknęłam się bezpośrednio, oraz pośrednio z opowiadań mojego ojca prof. Waleriana Wróblewskiego i jego przyjaciela poła Józefa Manaczyńskiego - Stanisława Mirochny prezesa zarządu powiatowego SN.

Aresztowanie por. Józefa Mirochny i znanego działacza SN - Stanisława Mirochny, oraz ich szwagra Augustyna odbiło się gorzkim wstrząsem w ZWZ tarnowskim w maju 1940r., zwłaszcza, że równocześnie na terenie Tarnowa nastąpiły też masowe aresztowania młodzieży w wieku poborowym przez gestapo tarnowskie. Mówiło się, że w ręce gestapo wpadły listy imienne ze Starostwa. Uczyliśmy się dopiero działania w konspiracji, chociaż nadal dawne koleżeńskie znajomości uważaliśmy za pewne przy kontaktach w walce z okupantem. Może tu także tkwiły przyczyny "wsypy"?

Prof. Józef Mirochna był moim profesorem teorii muzyki, kontrpunktu i kompozycji przez kilka kolejnych lat uczęszczania do Średniej Szkoły Muzycznej prof. A. Kaempfa w Tarnowie. Był on doskonałym wykładowcą, a tak profesorscy jak i uczniowie uważali Go za utalentowanego kompozytora. Był to młody, bardzo przystojny mężczyzna, o wspaniałej "góralskiej" urodzie i śmigłości ("śmigły jak smrecek"). Wszystkie uczennice z tej Średniej Szkoły Muzycznej kochały się w pięknym i ogromnie komunikatywnym profesorscy, i z największą starannością przygotowywały zadane przez niego prace z zakresu harmonizacji, kontrpunktu i kompozycji.

Na dorocznych popisach - egzaminach grano drobne utwory kameralne Jego kompozycji, a chyba w roku 1936, gdy nasz Kurator prof. Kryształowicz z Filharmonii Lwowskiej, oraz prof. Opieński z UJK we Lwowie zapowiedzieli wcześniejsze swoje przybycie, bo z początkiem maja (popisy były zwykle przygotowywane na połowę czerwca) uratował swoimi kompozycjami dobre imię Szkoły. Solistom z klasy koncertowej śred-

niej zwykle akompaniowała orkiestra wojskowa - mała symfoniczna pod dyrekcją mjr Krudowskiego (zamordowany wraz z innymi oficerami 16pp w Katyniu), dyrektorka nasza po krótkich naradach z dyrygentem i innymi profesorami różnych instrumentów zadecydowała, że na egzaminacyjno-popisową solówkę tak smyczkową, jak i fortepianową wykonane zostaną dwie kompozycje prof. Józefa Mirochny z orkiestrą. Należało tylko natychmiast rozpisać partytury instrumentowe. Wszystkie grupy przedmiotów teoretycznych na lekcjach rozpisowały je, oczywiście dziewczęta "con amore", chłopcy z pewną dozą zazdrości, ale wszyscy bardzo pilnie. Za dwa dni oba utwory były rozpisane (trzeba wyjaśnić, że przedmioty teoretyczne dla grup trwały w godz. 14⁰⁰-19³⁰). Także prof. Błotnicka zamiast wykładów z historii dozorowała wykonywania partytur. Solisci ćwiczyli "na okrągło", a przy pierwszej próbie z orkiestrą mjr Krudowski ogromnie nas pochwalił za poprawne rozpisanie, a także ucieszył, chwalać obie kompozycje, jako bardzo ciekawe i piękne melodycznie; - były to, jeśli pamiętam - sonatina (fortepian) i serenada (skrzypce). Popis - egzaminacyjny też był sukcesem kompozytora i Szkoły. Prof. Mirochna, - z wrodzonej skromności nie podał nazwiska kompozytora.

Tak prof. Kryształowicz, jak i prof. Opieński chwalili wykonanie i kompozycje, pytając czy to jakieś nieznanne dzieła Karola Szymanowskiego. Byliśmy wszyscy niezmiernie dumni, że nasz ukochany profesor komponuje na poziomie K. Szymanowskiego, który wówczas był bardzo popularny z uwagi na przygotowania do wykonania "Harnasi" w Paryżu.

Pod koniec popisu, jeszcze na sali lustrzanej, obaj profesorowie ze Lwowa gratulowali naszemu prof. Mirochnie, otrzymał, jako autor długotrwałe oklaski, i na bis wykonał też swojej kompozycji barkarolę na skrzypcach.

W klasie maturalnej w gimnazjum SS. Urszulanek (wiosna 1938r.) już nie brałam udziału w popisie, ale za namową prof. Mirochny i dr Błotnickiej przygotowałam pracę dyplomową "historia muzyki", do której oboje dostarczyli mi obfitej bibliografii. Jak doskonałą praktycznie lekcją było owe przepisywanie partytur i rozpis na głosy (instrumenty) przekonałam się już w 1945r., kiedy to biedne wilnianki "Siostry Do-Re-Mi" poprosiły mnie o rozpisanie im na głosy różnych piosenek, którymi w tym

rodzinnym trio mogły zarobić na utrzymanie się na studiach w Krakowie, śpiewając w "Rotundzie". Ale niestety wtedy już od trzech lat nie żył mój profesor.

W roku akademickim 1938/39 studiowałam we Lwowie na UJK i Ekspertówce, ale zachodziłam na wykłady prof. Opieńskiego, który ku memu zdumieniu rozpoznał mnie jako uczennicę klasy fortepianu z Tarnowa, przypomniał popisy i wypytywał o dalsze kompozycje "tego utalentowanego Józefa Mirochny". Wiedziałam, że pracuje nad symfonią, a także nad operą na motywach ludowych. Czy je skomponował? Może te dzieła zdołały się uchronić od rewizji gestapo?

Wiosną 1939r. była już bardzo burzliwa i niespokojna, zdawałam pośpiesznie wszystkie egzaminy tak na prawie jak "multum" na Ekspertówce w terminie przedwakacyjnym. Lato już było upalne, zabiegi polityczne niby obiecujące, ale pakt Ribentrop-Mołotow trochę kasandryczny. W dniu 26. sierpnia nastąpił wybuch bomby na dworcu tarnowskim. Na ten też dzień dostałam powołanie mobilizacyjne jako aspirantka WSK i udałam się na wyznaczoną godzinę 11⁰⁰ do Szpitala Wojskowego przy ul. Piłsudskiego. W kierunku tym szło dużo młodych ludzi w mundurach, a wśród nich powitał mnie w pięknym mundurze porucznika, jeszcze zgrabniejszy i przystojniejszy niż za szkolnych czasów por. rezerwy Józef Mirochna. Razem doszliśmy na miejsce zgłoszenia, pełni najlepszych nadziei.

Zameldowanie i odebranie instrukcji trwało około dwie godziny. Płk dr Stanisław Goździewski nieomal nas egzaminował z obowiązków instrumentariuszki przy ciężkich ranach szarpanych, ale głównie pomocy przy wojnie gazowej. Rezerwiści mężczyźni zdaje się mieli jeszcze więcej instrukcji, bo gdy dziewczęta wyszły po ustaleniu dyżurów, korytarz jeszcze dudnił od instrukcji dla oficerów rezerwy. Poczekaliśmy naturalnie na mojego profesora, dołączyły jeszcze dwie koleżanki, a później jeszcze koledzy ze szkoły muzycznej (ale od kilku lat po maturze) i pełni entuzjazmu przeszliśmy się w stronę strzelnicy, która już była obsadzona żołnierzami i wartą. Wszyscy byliśmy radosni i pełni nadziei, zwłaszcza wierząc w pomoc takich potęg militarnych, naszym ówczesnym zdaniem, jak Francja i Anglia. Życząc sobie i Polsce szybkiego zwycięstwa zegnaliśmy się wszyscy serdecznie i ja pierwszy i ostatni raz ucałowałam smagły policzek mego profesora Józefa Mirochny. 16 PP został z Tarnowa wysłany na zachodnią granicę. Niestety już w dwa dni po wybuchu wojny, do Szpitala Wojskowego w Tarnowie zaczęły masowo zjeżdżać karetki czerwonego krzyża załadowane po brzegi rannymi żołnierzami, z bardzo groźnymi ranami postrzałowymi, szarpanymi, wykrwawionymi i przeważnie nieprzytomnymi, głównie skutkiem masowego łądowania, jak sardynki w puszcze. Wypytywałam rannych o znajomych, w szczególności o prof. Józefa Mirochnę, bo jeden z rannych powiedział mi, że był ranny. Ale w żadnej karetce, ani na sali chorych, czy operacyjnej go nie znalazłam.

Po wizycie w Tarnowie gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego i dalszej działalności organizacyjnej w ZWZ, z terenu Wojnicza otrzymałam informacje, że tam też działa partyzantka organizowana przez por. Józefa Mirochnę. Rodzina ta była dobrze znana z patriotycznej postawy, a Stanisław Mirochna był przecież prezesem SN na powiat tarnowski. Opieka nad przejeżdżającymi transportami jeńców (zwłaszcza przez dostarczanie cywilnych ubrań i ukrycie oraz podanie kontaktów na przedarcie się na Węgry), rozdział wysiedlonych z Poznania i Gostynia, to były nasze zastępcze zajęcia i łącznik z Wojnicza, przypuszczałam, że od Józefa Mirochny, także zgłosił gotowość przyjęcia tych ludzi.

Akcja rozdziału wysiedlonych pomiędzy polskie rodziny była ogólnie znana i rozpropagowana i też mogła być przyczyną obserwacji przez gestapo, bo i w Tarnowie były "wyspy" właśnie spowodowane przez wysiedlonych. Ale wszystkie przyczyny aresztowań Polaków przez okupantów wyjaśniają się tendencją eksterminacji inteligencji polskiej i ludzi cieszących się autorytetem społecznym.

W Tarnowie w okresie międzywojennym, było stale jako miesięcznik redagowane przez młodzież szkół średnich czasopismo, pod różnymi tytułami: "Świat Młodych", zdaje się "Gimnazjalista" i "Świt", a po reformie szkolnictwa B-ci Jędrzejowiczów redakcję przeniesiono do III Gimnazjum pod opiekę mego ojca prof. Waleriana Wróblewskiego jako polonisty i literata.

W skład redakcji wchodziło wójtowie gimnazjów - szkół średnich oraz po jednym uczniu, poloniście. W klasie VI gimnazjalnej (stary typ) jako wójt Gimnazjum SS. Urszulanek weszłam w skład tej redakcji. Spotkałam w jej składzie wielu znanych mi kolegów ze Szkoły Muzycznej, a wśród nich jako ówczesnego wójta I Gimnazjum Tadeusza Mirochnę, młodszego brata mego prof. Józefa Mirochny. Tadzik, bo tak go wszyscy nazywali, był chłopcem o drobnej, delikatnej budowie, znacznie niższym od swego brata, ale podobnych rysach twarzy. Z nim razem, jako przedstawiciele I Gimnazjum byli kol. Kuźma i Franiu Gurgul, wszyscy sami siebie określający jako ludowcy endeccy. Gdy na dwóch zebraniach nie zdołano wybrać składu redakcji ("socjalisci" - contra "endeko-ludowcy"), na zebranie wyborcze zawitał dawny długoletni redaktor Jasiu Bielatowicz, oddaliśmy mu przewodnictwo (mój ojciec spokojnie z boku słuchał tych przetargów wyborczych), no i w pierwszym głosowaniu przeszli "ludowo-endeccy": Tadeusz Mirochna, W. Pocię, S. Kuźma i ja, zaś dopiero już nie jako członkowie prezydium redakcyjnego (Roman Sztyłowski) Artek Szancer, Staszek Rosieński, Józef Klose (Liceum Handlowe) i któraś z koleżanek z Gimnazjum Bł. Kingi. Dopiero w toku prac redakcyjnych, głosowania nad artykułami, kontroli tzw. "szczotki", składania i uzupełniania luk np. krótka recenzja z "poranków teatralnych" w Krakowie, dokąd wówczas wszystkie szkoły jeździły jeden - lub dwa razy w miesiącu, czy z poranku symfonicznego - okazało się, jak sprawnym literatem i organizatorem jest Tadzik Mirochna. Tzw. "wstępniaki" pisali wspólnie z Pocięm i Kuźmą, rzadko tylko dopuszczając mnie do współdziałania (myślę, że profilaktycznie, by im mój ojciec artykułu, jako zbyt politycznego, jak na wypowiedź młodzieży nie zakwestionował i nie poprzekreślał). Gdy zaś mój ojciec usterkował brak działu poetyckiego, Tadzik siadał, i od ręki, w czasie gdy myśmy robili korektę - pisał jakiś sonet, triolet, lub inny okolicznościowy wiersz, ale zawsze na dobrym poziomie, co mój ojciec kwitował - może iść, nie jest częstochowski - czyli nie jest prymitywnie rymowany. Podziwialiśmy jego łatwość twórczą, oczywiście z dużymi wpływami "Skamandra", ale już to było pochlebna oceną. Tadzik Mirochna, Rosieński, Kuźma także i po zdaniu matury i będąc na studiach prawniczych uczestniczyli w pracach zespołu redakcji międzyszkolnej także w roku 1938. Ja jednak po maturze wyjechałam na studia do Lwowa i straciłam kontakt tak z redakcją, jak i Tadeuszem Mirochną. Pamiętam tylko, że w jednym z artykułów o misjach w Japonii wymienił swego brata misjonarza, jako współdziałającego i następcę O. Maksymiliana Kolbe.

Ocenialiśmy Tadzika, jako skrupulatnie prawego i prawdomównego. Być może ta nadmierna rzetelność kazała mu iść do

niewoli niemieckiej, a przecież poza PW w Gimnazjum nie miał właściwie przeszkolenia wojskowego i był ochotnikiem, jak wielu studentów, nie znających jeszcze nakazu wojskowego - samozachowawczego, że pierwszym obowiązkiem w sytuacji okrażenia jest ucieczka i ukrycie się, oraz zdjęcie munduru. Bestialskie zamordowanie przez Niemców tego szlachetnego i utalentowanego członka rodziny Mirochnów chyba ma związek z akcją przeciw Józefowi i Stanisławowi. Dlaczego został przewieziony od bauera, u którego pracował na roli i jako piekarz - listy do rodziny pisał z Pomorza, a został rozstrzelany w Radogoszczy koło Łodzi? Tak jak i paczki były ocenzone, a może tak korespondencja wskazała go gestapowcom, jako jeszcze jednego "wroga Rzeszy Niemieckiej" o tym samym nazwisku. Może teraz uda się historykom dotrzeć do dokumentów gestapo, bo jednak lubili zawsze składać taką dokumentację.

Może przypomnienie tych bohaterskich ofiar hitleryzmu obudzi pamięć osób, które pozwolą wyjaśnić tajemnicę zbrodni na patriotycznej polskiej rodzinie, której członkowie mogli i powinni być sławą naszego Narodu! Cześć Ich świetlanej pamięci!

1991 r.

Dr Wanda Wróblewska - Składzien

Stare pieczęcie

Podobno wieś Kipszna ma swój herb: na zielonym tle, symbolizującym wiosenną zieleń dwa kłosa żyta, marzenie o lecie i chlebie, oraz ciemnobrązowy dzban, który przypomina jesień, porę gromadzenia zbiorów - i ma też Kipszna legendę o powstaniu herbu. Napisał o tym niedawno Janusz Kowalski w Tarnowskim Magazynie Informacyjnym (Nr 15(627) z 9.IV.1992r.). Imponuje pamięć mieszkańców Kipsznej, którzy zapamiętali swoje wiejskie godło i mają jeszcze jego legendę.

Opisana sytuacja wydaje się wyjątkowa, bo polskie wsie, w przeciwieństwie do miast, nie posiadają rodzimych tradycji heraldycznych, jeśli nie liczyć krótkiego okresu w średniowieczu i obcego obyczaju przeniesionego na ziemie polskie po rozbiorach przez państwa zaborcze. Z tego pierwszego okresu (XIV-XVw.) trwającego do czasu wykupienia sołectw przez szlachtę nie pozostało wiele pieczęci - dziś stanowią rzadkość. Po raz drugi samorządy wiejskie pojawiły się na wsi po rozbiorach. W Galicji okres, w którym posługiwano się pieczęciami wiejskimi trwał do czasu utworzenia gmin zbiorowych, które swych pieczęci już nie wytworzyły. Pieczęcie funkcjonowały mniej więcej w latach 1780-1930.

Wtedy to pojawiły się pieczęcie wójtowskie i naczelnikowskie z wyobrażeniem różnych symboli związanych z wsią, ale oczywiście tylko takich, które były przez władze akceptowane. Pomimo to warto zwrócić uwagę na te wyobrażenia napieczętne, które zachowały się na starych dokumentach sporządzanych przez wójtów i naczelników wsi lub ich sekretarzy. Dokumentów takich również jest niewiele, gdyż najczęściej nie posiadały większej wartości i nie kwalifikowały się do dłuższego przechowywania. Wiele pieczęci zaginęło bezpowrotnie. Prof. Marian Gumowski zajmujący się m.in. sfragistyką¹ zebrał ponad 500 odcisków pieczęci z godłami z ok. 350 wsi na terenie dawnego województwa

Niektóre osoby występujące w tekście:

Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz (1893-1964) - w 1939r. zastępca dowódcy armii "Warszawa", współorganizator i dowódca organizacji Służba Zwycięstwu Polski, która później przekształciła się w Związek Walki Zbrojnej.

Jan Bielatowicz (1914-1965) - literat, poeta, publicysta, żołnierz. Najbardziej znana jest jego "Książeczka" (po raz pierwszy wydana w Londynie w 1961r.)

Artur Szancer (Roman Szydłowski) - prawnik, literat, tłumacz sztuk teatralnych. Autor książki "Wojna zaczęła się w Tarnowie. Wspomnienia" (Wydawnictwo Literackie 1991).

Władysław Pocię - prawnik, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli palestry polskiej. Przemawiał na uroczystości odsłonięcia tablicy poświęconej pamięci Mirochnów.

Objaśnienia skrotów:

SN - Stronnictwo Narodowe, ZWZ - Związek Walki Zbrojnej, UJK - Uniwersytet Jana Kazimierza, WSK - Wojskowa Służba Kobiet, PW - Przystosowanie Wojskowe.

krakowskiego, a w artykule pt. "Herby i pieczęcie wsi województwa krakowskiego" podał 153 przykładowych rysunków godła wiejskich².

Tematyka przedstawionych niżej herbów wsi z naszego terenu jest głównie związana z rolnictwem³. Na pieczęciach znalazły się więc narzędzia rolnicze, kosa i grabie (Błonie), sylwetka kosiarza (Grabno), kłosa zboża (Łętowice). Bardzo malownicza jest pieczęć Milówki z przedstawieniem lasu świerkowego, a niezwykle ciekawa jest pieczęć Wielkiej Wsi (w dwu wersjach) z motywem architektonicznym. Przedstawia ona dom z wyraźnie uwidocznonymi drzwiami, oknami i kominem, obok którego znajduje się drzewko owocowe, a całość usytuowana jest na polu o zaokrąglonym konturze, mającym chyba oznaczać przynależną do budynku parcelę-podwórze. Bogata narracja pieczęci jest dziś trudna do zinterpretowania gdyż nie znamy koncepcji pomysłodawców, a wszelkie dociekania mają tylko wartość hipotezy. Wydaje się więc, że jeśli budynek nie jest przedstawieniem dworu, to być może pieczęć miała symbolizować postępowe tendencje wsi w zakresie budownictwa i gospodarowania. Przedstawiony budynek nie jest bowiem wiejską chatą, ale nowoczesnym murowanym domem z kominem, krytym dachówką, z dużymi oknami i stojącym na obszernym dziedzińcu. Drzewo owocowe być może propagować miało sadownictwo. W drugiej wersji budynek uległ znacznemu podwyższeniu, co prawdopodobnie miało jeszcze wyraźniej nawiązywać do ambicji w zakresie budownictwa.

Jest możliwa również inna interpretacja herbu Wielkiej Wsi - jako godła "mówiącego", tzn. nawiązującego, choć nie bezpośrednio, do samej nazwy wsi:

wielki dom - wielka wieś - Wielka Wieś.

Był to bardzo częsty sposób kreowania wiejskich herbów, np.:

oko Opatrzności - baczenie - Baczków,
gęsie pióro - pisanie - Piszczowice.

ego oddan co niniejszem

186



Błonie
(napis nieczytelny)
1878
Wysykoł Karol wójt

*Naczelnik
Liszka*



Grabno
ZWIERZCHNOŚĆ GMINNA GRABNO
1913
Naczelnik gminy Liszka



Łętowice
ZWIERZCHNOŚĆ GMINY ŁĘTOWICE
1905
Naczelnik gminy Stawarz

Naczelnik



Łopon
ZWIERZCHNOŚĆ GMINY ŁOPON
1913
Naczelnik gminy Józef Król (?)

No

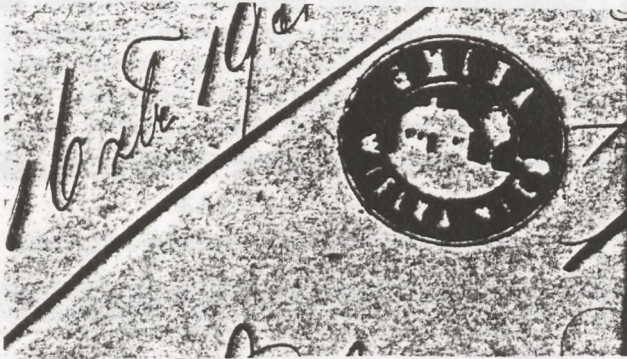


Milówka
GROMADA MIŁÓWKA
1913
Naczelnik gminy Józef Gołab



*Naczelnik
Nowak*

Rudka
ZWIERZCHNOŚĆ GMINY RUDKA
1913
Naczelnik gminy Nowak



Wielka Wieś
GMINA WIELKA WIEŚ
1888
Naczelnik gminy Michał Snopek



Wielka Wieś
GMINA WIELKA WIEŚ
1905
Naczelnik gminy Jan Pawlina

Nowak



*Naczelnik
Ludwik*

Zakrzów
ZWIERZCHNOŚĆ GMINNA W ZAKRZOWIE
1905
Naczelnik gminy Ludwik Kop... (?)



*Nowak
Jan*

Zamoście
ZWIERZCHNOŚĆ GMINNA W ZAMOŚCIU
1913
Naczelnik gminy Jan Skóraś

Niektóre wsie na pieczęciach nie uwidoczniły żadnych symboli (Zakrzów, Zamoście), w innych wypadkach wprowadzano do pieczęci urzędowy wizerunek orła (Rudka). Interesująca jest pieczęć wsi Łopon o owalnym kształcie i z koroną symbolizującą własność królewską.

Przedstawiony wybór pieczęci nie jest wyczerpujący, powstał bowiem przy okazji przeglądania przypadkowo wybranego pakietu dokumentów z różnych lat, a reprodukowano tylko najbardziej czytelne pieczęcie. Znaczna część pieczęci jest zupełnie nieczytelna i ujawnia, że niektórzy naczelnicy mieli kłopoty z uzyskaniem odpowiedniej farby i być może robili ją we własnym zakresie z sadzy powodującej charakterystyczne rozmazania. Wśród przedstawionych pieczęci wyróżnić można metalowe dające ostry rysunek (np. Łętowice, Rudka) i kauczukowe dające mniej ostry rysunek - charakterystyczną ich cechą są białe (nie pokryte farbą) napisy i rysunki na czarnym tle.

Przedstawiamy dziesięć odcisków pieczęci w nieznanym powiększeniu, a obok podajemy nazwę wsi, treść napisu napieczętnego, datę powstania dokumentu oraz imię i nazwisko osoby podpisującej dokument. Dodajmy jeszcze, że herbom wsi towarzyszyły zapewne niegdyś legendy czy choćby anegdoty, a może nawet związane były z jakimiś wydarzeniami. Przepadły one wraz z zapomnieniem pieczęci.

(w)

Objaśnienia:

1. Sfragistyka - nauka o pieczęciach, ich historii, typach i funkcjach.
2. Artykuł opublikowany w: *Małopolskie Studia Historyczne* R. IV z. 1(12), Kraków 1961.
3. Żadna z tych pieczęci nie została odnotowana w cytowanym artykule M. Gumowskiego.



A



B



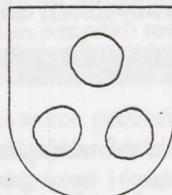
C



D



E



F



G



H



I

TABLICA HERBOWA IV

A. Chocznia WA; B. Ciche NT; C. Cieniawa NS; D. Cwików DA; E. Czaczów NS;
F. Czaniec OS; G. Czarna Wieś KR; H. Czarny Dunajec NT; I. Czorstyn NT

Reprodukcja rysunków herbów wsi z cytowanego artykułu M. Gumowskiego (wspomniejeźenim). Oznaczenia:

WA-Wadowice, NT-Nowy Targ, NS-Nowy Sącz, DA-Dąbrowa Tarnowska, OS-Obwiesim, KR-Kraków.

Maria Leszczyńska Mittelstaedt

"Wokół czarnej dzwonnicy"

A jednak proboszcz był zakochany!

To nie do wiary! wykrzyknąłby każdy, kto zna jego obyczaję. A jednak - proboszcz był zakochany. Nie pomogły fiołkowe obszytki przy rękawach i srebro na włosach. Proboszcz kochał się dogłębnie i wiernie i umiał marzyć w każdej wolnej godzinie o swojej ukochanej.

Zamykał wtedy oczy i widział ją, stojącą przy kościele, taką smukłą i prostą, piękniejszą od najpiękniejszych dziewcząt w parafii. Widział ją taką białą, białą, raz owianą mgłami, raz złocącą się od słońca, innym razem stojącą cicho w miesięcznej poświacie, a potem znów cała różową od jutrzeńki. Tęsknił do niej, prosił Boga, by mu ją dał, a o nic więcej dla siebie prosić nie będzie. Bez niej życie wydałoby mu się nie zakończone, niewywieczone i nie chciałby odejść z tej ziemi, póki jej nie pozdrowi powielokroć oczami szczęśliwymi.

I nie tylko sam kochał, ale chciał, by inni ją kochali. Opowiadał o niej każdemu, kto chciał słuchać. Czasem, gdy lico jego zaczynało płonąć, oczy zapalać się i już otwierał usta, by ją

Wyjątki z rozdziału siódmego "Księgi wygnania"

wychwalać - prefekt uprzedzał go, wspinał się na palce i wyciągając ręce wysoko ponad głowę, wołał z emfazą jedno słowo:

"Wieża!"

Wtedy proboszcz zafrasowany skrobał się za uchem i mówił pokornie:

"No, bo sami powiedzcie, jakże świątynia Pańska może być innym domostwom podobna: bez wieży?! Jakaż to parafia upośledzona, z której serca wieża nie strzela do Pana? Pomyślcie tylko: niech każdy da cegielkę, wóz piasku, parę groszy... tak niewiele, niewiele potrzeba, a tu wieża zaczyna rosnać ponad plebanię, ponad czerwony dach kościoła, ponad lipy, aż złocistym krzyżem o niebo się oprze i oczy ludzkie wieść będzie za sobą. Kto przechodzi - mimowoli oczy podniesie i na chwilę zgubi ziemię, zapomni o niej, a wspomni Boga. To grzech, że dotąd wieży nie ma. Tyle domów, tyle pałacy, tyle pięknych chat wokoło, a Pan Bóg wieży doczekać się nie może! Wieży, by w niej

zawiesić dzwony i zegar, by ludziom znikomość życia przypominała...

Ale dzwony wisiały dalej w starej, czarnej dzwonnicy modrzewiowej, podobnej do bezskrzydłego wiatraka, o sutych okapach i krytej galerii wokół najwyższych wylotów okiennych. Była przepalona słońcem setek lat, przewiana wiatrami setek zim, aż kontury jej zatraciły ostrość i na tle modrego, nocnego nieba zdawała się być obleczona czarnym aksamitem, a kamienne jej stopy, całe w rozpadlinach i mchu, wrastały głęboko w barwny chwast cmentarza, w jego tłustą, żyzną glinę.

Trzeba jednak było przyznać, że ksiądz prefekt miał lepsze kazania od proboszcza. Ksiądz prefekt był złotousty i była tak wielka różnica jego wymowy z czterema pozostałymi księżmi, że nawet nie budziła zazdrości.

Ksiądz prefekt był inny od proboszcza, jakby miejski. Przecież jego myśli były cienkie, oczy bystre, czasem złe. Zdało się, że nie lubił ludzi. Lubiał tylko swych przyjaciół i dzieci w szkole, którym nie żałował plag i kar tak ostrych, że chyba w żadnej innej parafii dzieci nie umiały tak dobrze katechizmu.

Zywał się gdy proboszcz wszystkim wierzył. I podczas gdy proboszcz tkwił w długach powyżej biretu - prefekt miał swój własny dom z ogrodem w Rynku, miał różne udziały w sklepie, miał książki, dobre wino, smaczną kuchnię, bywał i przyjmował. Prowadził różne interesa, które mu się dobrze wiodły i zyskiwał przez to zazdrosnych wrogów. Wiedział, co się dzieje w parafii, wiedział także co się dzieje na świecie. Miał czas na wszystko. A w niedzielę...

Czasem wydawało mu się samemu, że jest w nim dwóch ludzi: jeden który robi pieniądze, gra w karty, poje smacznie i popije, a drugi siedzi w nim cicho, cicho, a w niedzielę albo w święto za łeb tamtego bierze, powala, podnosi się ponad niego wysoko i - mówi.

Wszystko co prefektowi ukazało się w życiu pięknego, wzniosłego, mądrego - układało się w nim jakby w warstwy tworzywa dziwnego, w bloki czystego jak śnieg marmuru. I potem w niedzielę czy święta, słowo biegło po tym marmurze jak rytec, jak dłuto i młotek rzeźbiarza i powstawały pod sklepieniem kościelnym kazania, jakby wykute i wyrzeźbione najmistrzniej w kamieniu białym, twardym, a przezroczym jak korona lilii.

Czasem, gdy mówił, wznosiły mu się lekko włosy u korzeni, a po plecach przebiegały dreszcze od świadomości tych dziwnych w sobie nawiedzin jakoby brata lepszego i szczęśliwego ponad wszelką miarę. Czuł się zatrzważając wszechmocny. Puszczal słowa jak stado drapieżnych ptaków na dusze, jak sokoly na przepiórki i wszystkie stały mu się powolne u stóp ołtarza. Odzierał je wtedy z wszelkiego brudu, obmywał, pokrzepiał balsamem, opatrywał parą skrzydeł, tży ocierał, drogi jasne i dalekie pokazał, przetworzył wszystkich i jemu samemu i innym zdawało się zawsze, że od tej właśnie niedzieli zacznie się zupełnie inne życie.

Tym wszystkim ludziom, którzy mniej lub więcej świadomie byli spragnieni w życiu czegoś więcej niż chleb codzienny, dawał w kazaniach, poza uświęceniem i pokrzepieniem, wielkie teatrum piękna. Otwierał im wielką księgę poezji, jak Mojżesz w głuchą skałę różdżką uderzał i wypływało jasne źródło. Mówił, a było w jego duszy jakby snuł pieśń podług jakichś miar i taktów z góry

nasyłanych. Ani jednej nuty za wiele, ani jednej za mało. Puszczal myśl, jak pęd winnej łączy w górę, a sam Bóg podejmował czule pędy i rozpinał je wyżej na złocistych kratkach i szczeblach prawd Swoich, poił je z niewyczerpanych, niezgasłych nigdy krynic Swego natchnienia.

Gdy po skończonym kazaniu ksiądz prefekt osłabły i szczęśliwy, odwracał się do ołtarza, by mszę dalej odprawiać, mszę do której podchodził przed godziną chłodno, jak do pracy codziennej - żarliwie tży kręciły mu się pod powiekami i dziękował Bogu i najgłębszą wdzięcznością za to, że jednak nie w ludzkiej, ale Boskiej służbie żyje, że w Bogu, jak w morzu zatopiony, nie widzi szranków, granic, przeszkód, by chwalać Boga słowo na najwyższy ton nastroić i nie chybić, ale za własnym głosem wzrastać i innym dźwiękami być. Spiew ludu podbiegał mu pod serce, jak wiatr pod skrzydło i unosił je ku niebu. Gdy prefekt i ludzie wychodzili z kościoła, mieli twarze jakby we śnie pogrążone. Lecz zaraz za progiem kościoła zawierucha ludzkich słów czar rozwiewała. Skrzydła osypywały się z dusz i leżały wokół jak płatki kwiatów po przejściu procesji, ale ludzie ich nie widzieli i deptali po nich. Ksiądz prefekt umawiał się pod cmentarną bramą z przyjaciółmi na karty, na dobrą kolację, a w głębi kościoła, pod sklepieniem, rozwiewał się śnieżny zarys dzieła z marmuru. Wszystko cicho, przebrzmiewało. Ksiądz prefekt uśmiechnięty, rozdając ukłony na wszystkie strony idzie do swego domu w Rynku, by zjeść śniadanie. Zanim gosposia kawę poda - spojży na swój ogródek.

Stał w drzwiach. Jest zmęczony. Nie jest już taki młody i serce czasem dokucza. Przy cierpieniach serca często pojawia się zniechęcenie, zwątpienie... I w tej chwili czuje beznadziejność swego trudu i przelotność słowa, w które włożył duszę. Nic nie odmieniło się w parafii i on pozostał taki sam, już nie niedzielny, ale zwykły tygodniowy, codzienny człowiek.

W ogródku wiosna. Jeszcze nic się nie odmieniło, ale już wszystkie grządki obsiane. Prefekt stoi cicho i słucha, jakby chciał kielkowanie tych ziaren ukrytych posłyszeć. Uśmiechnął się.

A czwarty miał minę znudzonego murzyna. Równolatek i kolega obydwóch starszych księży, przybył tu szukać gościny na czas wojny. Najął pokój w Rynku, niedaleko prefekta i gdy rano, już ubrany, odchyłał firaneczkę i wyglądał na miasto - przechodnie mimćwoli przyspieszali kroku, bo zdawać się mogło, że natychmiast rzygnie na nich, na Rynek, na pogodę, na wojnę.

Szedł do kościoła, odprawiał swe obowiązki kościelne najszybciej ze wszystkich księży i wiadomo było, że jeśli kto nie chciał zbyt długo naprzykrzać się Panu Bogu - wybierał mszę księdza Zdaleka. Potem szedł do apteki, witał najlepszych przyjaciół z najwyższym znudzeniem, odbierał magistrów gazetę i siadał z nią na ceratowej ławce pod oknem na dłuższy czas. Podczas czytania obrzydzenie jego dochodziło do punktu kulminacyjnego. Daremnie pani aptekarzowa, promiennooka jak Diana, stawała przed nim z papierosem w ręku i starała się nieprzepartym wdziękiem i dobrymi nowinami rozjaśnić go cokolwiek. Patrzył na nią spodoba i ofukiwał surowo za łatwowierność. Gdy ktoś z gości przychodził do apteki i rozpoczynał rozmowę o polityce, znosił nowiny, stawiał horoskopy - ksiądz Zdaleka ledwie mógł zdzierżyć ze złości i pogardy. Ciskał czarnym, wielkim cielskiem za gazetą, nagle zrywał się i uciekał,

rzuciwszy aptekarzowi parę nieprzyjaznych uwag. Po obiedzie, gdy pani aptekarzawa "miała kryminal", czyli urzędowała w aptece, by mąż odpoczął z kolei, ksiądz Zdaleka znów stawał we drzwiach i ryczał gromko jakieś wezwanie. Natychmiast zjawiał się wtedy pan magister, ubrany już do wyjścia, i odchodzili na kilkugodzinny spacer, klóćąc się straszliwie.

W promieniu dziesięciu kilometrów można było co dzień spotkać tę parę sunącą krokiem posuwistym: ogromnego, czarnego jakby przez piekło przeleciał księdza i drobnego, jasnowłosego aptekarza z dwiema niezabudkami za cwikiem. Nie było wzgórz, na które by nie dotarli, nie było rzeczki, której by nie przekroczyli, nie było drzewa, kamienia czy figury, których by nie znali. Ci dwaj siwiejący panowie skradali się, by podpatrzeć pierwszego motyla na białej pokrzywie, albo pliszkę w gnieździe, smykali kwiatki, całe narecza niezapominajek, anemonów czy dzikich storczyków znosili na kolana pani aptekarzowej, a oblicze księdza Zdaleka, wychylające się spoza bukietu niezapominajek, było widokiem godnym zastanowienia. Każdy rys jego twarzy był bowiem jakby koszmarnie wyolbrzymiony, zepchnięty z właściwych torów i uwędzony. Miał minę nie tylko ludojada, nie tylko murzyna znudzonego, ale i srośnego nad wszelki wyraz, któremu nie można nastarczyć kobiet, jedzenia i picia. Zdawało się, że rozrywałby w powietrzu panny i prosięta, ba, całe nawet woły. Każdy jego muskuł kipiał siłą i dziwnym aż było, że o tym księdzu nic innego nie słychać w parafii prócz tego, że zrywa niezapominajki, a wieczorem grywa u prefekta lub w aptece w "kierki". Lecz i o Sokratesie mawiano, że twarz jego zdradzała skłonność do uciesch zmysłowych!

Na przyjęciach, które dawała raz po raz apteka lub ktoś inny w miasteczku i okolicy, ksiądz Zdaleka milczał zrazu i dymił okrutnie mocne papierosy. Jadł i pił smacznie, ale umiarkowanie i zaraz zasiadał do kart, klóćąc się z aptekarzem. Zdawało się mogło, że nie było z niego wielkiej pociechy w towarzystwie, a jednak wszyscy go zapraszali, wszyscy nadstawiali się pokornie pod jego obrzydzone spojrzenie i fuknięcie pogardliwe.

Bo gdy goście najedli się i napili dostatecznie, gdy omówiono już wszystkie okoliczne sprawy, rozegrano wojnę i zbudowano nową Polskę, Krzysia, córka państwa aptekarzów, opierała brodę na dłoni i zaczynała niby od niechcenia:

"Teraz to nigdzie wyjechać nie można... A tak miło jest podróżować..."

I patrzy w stronę księdza Zdaleka.

Odpowiada jej mruknięcie połączone z westchnieniem, od którego wszystkie firanki podnoszą się w górę. Krzysia ciągnie dalej:

"Podobno Maltę znowu bombardowali... Może ksiądz profesor był także na Malcie?"

"Dlaczego miałem nie być?" ofukuje ją ksiądz Zdaleka. "Przecież tamtędy wypadła mi droga do Tunisu. A czy wiesz, moja panno, że tam, na miejscu gdzie święty Paweł lądował po rozbiciu okrętu, stoi posąg na jego cześć. Byli tam sami poganie i na widok nieznanego rozbitka, który mówi do nich o nowym Bogu - pełni byli nieufności i wzgardy. Nagle zobaczyli, że z krzewu wypełzła zmija i ukasiła świętego w rękę.

Wtedy krzyknęli wielkim głosem:

"Jakże występny musi być ten człowiek, który został ukarany rozbiciem okrętu, a teraz bogowie nastali na niego zmijs, która mu sprowadzi śmierć w wielkich boleściach.

Ale święty strząsnął zmiję z swej dłoni i kazał dalej, a każda minuta jego życia, jadłem niezmaconego, jednala mu wyznawców

i gdy skończył kazanie - wszyscy nawrócili się i dali ochrzcić. Odtąd Malta wierna jest córka Kościoła!"

Twarz księdza Zdaleka wygładza się, rozjaśnia powoli, jakby padło na nią słońce znad owego morza i nad sławetną wyspą świecące. Opowiada dalej o tej wyspie, znanej od dawna starożytnym z róż i marmurów, leżącej w gorącym prądzie duchów awanturniczych i bohaterskich, dążących w średnich wiekach na wschód, by odebrać poganom największą świętość i ukochanie: grób Chrystusowy. Co najprzedniejsze rycerstwo tu lądowało, by zażyć spoczynku wśród róż i kęp trzciny cukrowej, której fodygi słodyczą napełniały usta, by nacerpać świeżej wody, naładować świeżych owoców i mięsa baraniego, bo wyspa stygnęła ze swych owiec. Ufundowano hospicjum dla pielgrzymów i rycerzy, a jako w tym ciepłym słońcu południa wszystko rośnie gwałtownie - braciszkiwie-szpitalnicy wnet w wielki zakon wzrosli.

"Było to słuszne", mówi ksiądz Zdaleka, "ze zakon podzielono na trzy reguły: szpitalników miłosierdziu oddanych, kapłanów święte obrządki sprawujących i zatrudnionych w świętych księgach i pieśniach, w kościołach ozdobię, każących do ludu tubylczego i wędrownego - i na trzecią regułę braci-rycerzy, którzy z mieczem w dłoni i osmioramiennym krzyżem na piersiach opuszczali klasztor zaciszny nieraz na całe lata, wójując za Boga i sprawy Jego!"

Ksiądz Zdaleka umilkł na chwilę i zapatrzył się przed siebie. Czarniawa twarz w wieczornym świetle zaszępiła tęsknotą. Potężnie rozbudowane skronie pochylają się naprzód, jakby pod ciężarem niewidzialnego szyszaka; rozstawione uda i kamienne barki wołają o blachy zbroicy, pod która w słońcu pochodów, w warze bitew gotowała się dowoli ta ciemna krew jak w rozpalonym tyglu.

Patrzy na niego z głębokim uczuciem pan magister, patrzy pilnie przez cwikier oczami niebieskimi jak polskie niebo i słucha z wielką lubością tego człowieka, liźniętego czorem afrykańskiego słońca i myśli o tym, że te wywinięte wargi fioletowe i łyskanie białkami nastrożają pewne wątpliwości i przypuszczenie, że jakiś rycerz Otello domieszał do jego krwi pieprzu, imbiru i innych korzeni pachnących a mocnych z dalekich krain, które teraz ostrością swoją buntują mu się w żyłach. Bo skąd te sny i ciągoty za wędrowaniem dalekim, za walką krwawą i przygodą i niedogodą, za konaniem z ran, łaknieniem i pragnieniem? Za mało takiemu jak ksiądz Zdaleka umrzeć raz śmiercią zwyczajną. On powinien co roku z siebie krew na pół wypuścić, gnaty potrzaskać i złożyć znów do kupy, strzałami się naszpikować, by wiatr przez kości chodził, a wtedy byłoby mu napewno lżej i nie rzygałby na Rynek.

Goście pocichli i teraz jego tylko słuchają. Bo gdy tak opowiada, zapatrzony w odległe i barwne kraje, twarz jego staje się pełna arcyłudzkiego blasku i powabu. Właśnie bez tych opowieści nie byłoby udanego wieczoru. Niech więc opowiada. Od młodości po świecie wędrował. Głowę miał otwartą i z seminarium wysłano go do Rzymu. Zaszczyt to wielki. Potykał wszystko jak smok: Wiedzę, piękno, obyczaj obcy, wino południa, może czar południowych dziewcząt... Najtwardsze kamienie trawił ten mózg i wciąż miał mało, wciąż się wtóczył, i gonił, i szukał. A potem, w kraju, rozpałał do białości wyobraźnię polskich chłopców na lekcjach historii kościoła.

Jak proboszcz kochał kościół dla słodyczy i miłosierdzia jego, jak prefekt kochał go jako bezkresną winnicę, kędy się piękne

słowo krzewiło, tak ksiądz Zdaleka kochał kościół dla jego potęgi nigdy nieograniczonych możliwości, dla tych upustów krwi, bogactw i piękna, dla tych dalekosiężnych wypraw pionierskich, karczowniczych, dla budowy największych na świecie dla największego Pana wznoszonych, jakże chętnie byłby dał za Niego krew - krew swoją, za Jego ciało - swoje ciało...

Ale Pan nie chciał teraz od niego nic więcej, prócz wydychania niedopieczonych grzeszków dewotek i walki z własnymi pokusami.

I dlatego fraszolliwe było to wielkie oblicze.

Od Redakcji

Przedstawiony fragment z "Księgi Wygnania" dedykowała autorka wojnickiemu aptekarzowi, z którym łączyły ją więzy przyjaźni, w dniu jego imienin. Na pierwszej karcie maszynopisu napisała: "Te parę kartek na pamiątkę wspólnych chwil wojny Najmilszemu sercu Panu Magistrowi Józefowi Pazdirkowi ofiaruje autorka. Wojnicz 19 marca 1950r." Był to zapewne piękny, choć nietypowy prezent, w którym naszkicowała sylwetki ludzi jej bliskich, wśród których przeżywała czas wojny. Wspomnienia dotyczą oczywiście ka. Jana Rzepki (1886-1977), ka. Franciszka Sierosławskiego (1890-1959), ka. Władysława Gądka przybyłego ze Stanisławowa i dlatego dowcipnie obdarzonego nazwiskiem Zdaleka, oraz samego solenizanta mgr. Józefa Pazdirka (1882-1951). Wszyscy, podobnie jak i Autorka już nie żyją. Ka. Rzepka, ka. Sierosławski i mgr. Pazdirek spoczywają na wojnickim cmentarzu. Autorka na cmentarzu w Skulsku koło Konina. Ten piękny tekst o wysokich walorach literackich, iskrzący się zaskakującymi metaforami, dowcipem czy też finezyjną ironią nigdzie nie wykracza poza ramy taktu, a ujawnienie różnorodnych słabostek Opisujących - tylko buduje ich wielkość. Tekst powstał z życzliwej przyjaźni tych osób, nie wszystko w nim musi być zrozumiałe dla współczesnego czytelnika i dlatego nie może być traktowany jako źródło biograficzne. Niech tylko stanowi piękną opowieść o Wojniczu i kilku postaciach, które odgrywały w naszym środowisku ważne role, i których dziś nie ma wśród nas.

Zachęcamy do lektury "Głosu Dębna"

W zawsze ciekawym i świetnie redagowanym "Głosie Dębna" znaleźć można interesujące wiadomości dotyczące bogactw naturalnych w naszej okolicy. W numerze 15-16 (maj-czerwiec 1992) Lidia Luchter-Krupińska podaje informacje o źródłach "solanki jodowej" w Dębnie, które były badane w 1909 roku i ówczesna ekspertyza wysoko oceniła ich walory lecznicze. W okolicy Dębna przed I wojną światową eksploatowano złoża rudy darniowej. Natomiast w numerze 18 (sierpień 1992) Stanisław Jedynek pisze o złożach rudy darniowej i poszukiwaniach węgla kamiennego w Porąbce Uszewskiej. W 1914 roku wykopano trzy szyby, a pracom tym patronował Dąbski (Dębski?) z Wojnicza. Pan Jedynek zwraca się do "Zeszytów Wojnickich" z prośbą o informacje w tej sprawie. Żałujemy, ale nic na ten temat nie potrafimy powiedzieć. Może ktoś z Czytelników zna jakieś szczegóły w tej interesującej sprawie?

11 listopada

Ostatni z drzewa liść spada,
Na szarą życia mojego drogę.
Ostatni listek. A dziś 11 listopada -
Przejść po nim przecież nie mogę!
Zabiorę ciebie listku złożony,
Nie będziesz już więcej deptany.
A chociaż jesteś cały zniszczony
To doczekałeś nareszcie zmiany.
Złote twe brzogi bardzo stargane,
Nie zdobią już zbytnio ciebie.
Na środku też rany zadane,
Lecz mam cię wreszcie dla siebie.
Przetrwaleś deszcze, gromy i grady,
Upały wielkie i wiatry.
I dziś mogąc zażywać parady
Ty jesteś taki podarty...

Listopad 1990r.

Rozmyślenia

Przekraczam bramę.
Tu cisza trwa,
A każdy szelest słyszeć się da.
Aleja jasna.
Tu mogił rząd.
Czy tak wygląda ten drugi ład?
Idę pomału.
W zadumie trwam,
Wielkiego święta uczucie mam!
Nagle stanęłam.
Słyszę śpiewanie,
Radosne ptaków w górze rozmawianie.
A w koło
Myśl mą przyniata
Ten smutek wielki całego świata.

Wrzesień 1992

Wiersze autorstwa Zyty Roman

"Zeszyty Wojnickie" - Redaguje zespół.

Nasz adres: Urząd Gminy Wojnicz
Rynek 1
32- 830 Wojnicz
tel. 68 lub 108